

Zapis relacji Anieli Żoś zamieszkałej w Warszawie przy ul. Partyzantów
7/ 19.

© ARCHIWUM Wschodnie

Urodziłam się w Krakowie gdzie ojciec pracował na Uniwersytecie. W 1919 r. przyjechaliśmy do Wilna. Urodziłam się 20 VI 1916r. Matka pochodziła z ziemiaństwa kresowego z Witebaszyczyny. Studiowałam na Uniwersytecie Stefana Batorego na wydziale matematyczno-przyrodniczym ze specjalnością astronomia. Jeszcze w listopadzie 1939r. zdążyłam zrobić egzamin magisterski. Uniwersytet zamknęli Litwini w grudniu 1939r. Jeszcze przez pewien czas litewski profesor, który przejął astronomię pozwalał nam pracować. Mogliśmy pracować w obserwatorium chyba do lutego 1940r./chodziło o opracowanie klisz/. Były u nas ciągłe zmiany władzy i przy każdej zmianie trzeba było szukać nowej pracy. Po przyjeździe Niemców miałam pierwszą propozycję wejścia do pracy konspiracyjnej. Była to grupa młodzieży Kazika Mackiewicza, prowadziła zupełnie naiwnie. Był tam mój kuzyn brat i namawiał mnie do wejścia do tej grupy. Ja wtedy odmówiłam. Wyjechałam następnie jako nauczycielka nad jezioro Dryświaty. Byłam nauczycielką dwóch chłopców u państwa Stommów. [To był 1942r. Latem 1942 r. do-
stałam wiadomość od matki, że pyta się o mnie mój znajomy por. Teodor Cetys i że jest w Wilnie. Wiedziłam wcześniej, że on jest w Anglii. Był to dla mnie człowiek godny zaufania, który rzeczywiście prowadzi jakąś poważną robotę. Przyjechałam do Wilna. Cetys "Sławek" szukał łączniczki. Naturalnie przyjąłam jego propozycję i rozpoczęłam pracę w III oddziale sztabu. Cetys był dowódcą III oddziału. Był to człowiek o dużej zdolnościach organizacyjnych. Rozpoczął organizować siatkę łączności. Zaczęłam od pracy zwykłej łączniczki nie wiedząc co i dokąd noszę. Pierwszą rzeczą było ustalenie skrzynek kontaktowych i haseł oraz znaków ostrzegawczych /bardzo często stawianych na oknie/. Pocztą bardzo wolno dochodziła do adresatów i odwrotnie. Były skrzynki obustronne do i od danej placówki. Przeorganizowaliśmy to w ten sposób, że były skrzynki dwustronne. Pocztą którą dostarczono jednego dnia z terenu następnego dnia przed południem na już odpowiedź. Początkowo ja obejmowałam całą

Łączność, tzn. ze wszystkimi placówkami w Wilnie i z inspektoratami. Nie było to jeszcze dobre rozwiązanie ale trwało przez jakiś czas. Dotychczas sieć łączności opierała się na bardzo niekonspiracyjnych zasadach. Było parę osób, które były łącznikami pomiędzy różnymi agendami. Były to: Zosia Dąb-Biernacka "Jagienka" kierowniczka V-ki konspiracyjnej /V-ka wojskowa kierował Stefan Czernik/, opiekowała się ona łącznikami z Warszawy, pocztą do Warszawy i cichociemnymi. Stanisław Książka "Bolesław", kleryk, bardzo zaprzyjaźniony z "Wilkiem" był on wreszcie. Pomagała nam "Agnieszka" z Wojskowej Służby Kobiet jeśli chodzi o łączniczek. Miałam skrzynki kontaktowe na terenie Wilna z 5 inspektoratami, 6 oddziałami etapu okręgu, legalizacją, Wojskową Służbą Kobiet. Potem z każdą komórką były dwie skrzynki w jedną i drugą stronę. Moją kierowniczką łączniczek była Teresa Skalska i ona zajmowała się ich szczegółowym rozdystrybowaniem. Łączniczeki znałam tylko stąd, że im składały na moje ręce przysięgę. Ja w październiku 1942r. składałam przysięgę na ręce "Ludwika". Łączniczeki nie wiedziały gdzie idą. Były ich dwie grupy. Jedne chodziły rano i ^{oddawały} ~~wykonywały~~ pocztę dla placówek, a wieczorem odbierały pocztę od placówek, oddawały Skalskiej a ona przynosiła ją dla mnie. Ja w nocy przygotowywałam pocztę i rano ją oddawałam. Tak trwało do marca 1943r. kiedy Cetys pojechał do Warszawy na odprawę. Przed jego wyjazdem proszono mnie o znalezienie sekretarki i kierowniczkę łączności dla szefa etapu. Dostawałam dosyć dużo propozycji, ale były duże wymagania. Łączniczka musiała być sprawną fizycznie i być inteligentną. Po powrocie Cetys zdecydował mnie /wobec nieznalezienia/ sekretarki/ ^{siatką} przekazać mnie wraz z całą ~~siatką~~ ^{siatką} do "Ludwika". Przez parę miesięcy pracowałam z "Ludwikiem" od wczesnej jesieni 1943r., kiedy rozwinęły się już oddziały partyzanckie i dotychczasową łączność z terenem nie wystarczała, "Jagienka" znalazła Baszkę Skarżankę "Ewę" i ona przejęła ode mnie całą sieć łączności na teren. Dochodzili łącznicy z terenu do Wilna ale także i z Wilna "Ewa" wysyłała łączników, us-

talaza punkty kontaktowe w terenie. [Od jesieni 1943r. praca byla bardzo intensywna. Oprócz łączności prowadziłam też sekretariat.] W nocy otwierałam pocztę segregowałam ją, przygotowywałam pisma do odpowiednich komórek. Rano ja ze swoją a "Ewa" ze swoją pocztą szłyśmy aż na ul. Kalwaryjską /do mieszkania siostry Feliksa Dzierżyńskiego/, w którym codziennie rano ~~zawsze~~ spotykałyśmy się wraz z "Ludwikiem" i "Skawkien" ale tylko na pół czy jedną godzinę. "Ludwik" gdzie można było od razu dawał decyzję. Pocztę, którą miałam przygotowaną plus powzięte decyzje przekazywałam mojej kierowniczce łączniczek Teresie Skalskiej. Ona miała następnie umówione łączniczki, które roznosiły już pocztę na konkretne miejsce. Ze Skalską miałam kontakt dwa razy dziennie. Pierwszy raz ~~zawsze~~ rano gdy przekazywałam jej pocztę z decyzjami "Ludwika" i drugi raz gdy on przynosił mi wieczorem pocztę z poszczególnych placówek i komórek konspiracyjnych. Była to dobra metoda i praca szła rzeczywiście dobrze. Poza tym miałam bezpośrednią łączność z kancelarią i kierowniczce kancelarii ~~z~~ Marcie Skorko "Iranie" oddawałam wszystkie materiały do zaszyfrowania i do odszyfrowania. [To była bardzo dobrze izolowana komórka i nikt z niej nigdy nie został aresztowany.] Dostęp do niej miała tylko "Jagienka", ja i chyba jeszcze jedna osoba poza tym szyfrantki i nik więcej. Inną sprawą, którą się zajmowałam to była organizacja odpraw inspektorów /potem przejęła to E. Skarga/ i członków sztabu. Trzeba było znaleźć lokum z dobrą widocznością i możliwością ewakuacji, dostarczyć broń i zorganizować ~~ich~~ wyżywienie ludzi z terenu. Z tym ostatnim było bardzo trudno. Pamiętam jak na jedną z odpraw pomyłkow wyciągnięto magazynki z broni /broń przeznaczona do szkolenia była bez amunicji, ktoś kto ją przynosił widocznie się pomylił/. Nastrój był bardzo nerwowy, gdy tylko ja zostałam z jednym P-7. Z członków sztabu znałam nazwiska i adresy Krzeszowskiego "Ludwika", Cetysa i Kokocińskiego /szef BIP/. Łącznikiem był nawet 9-letni syn Kokocińskiego, gdyż nikt na dziecko nie zwrócił uwagi. [Trzecią rzeczą, którą się zajmowałam było archiwum. W domu pod

podłoga miałał pod ręczne archiwum. Mieszkaliśmy na Zakręcie przy ul. Dobrej. Miałam trzy punkty archiwalne u państwa Swierczewskich /w puszcze/ w ogrodzie koło domu /NNN/. Dom ich spalił się ale archiwum ocalało. O archiwum wiedziała tylko moja matka. Po moim areszcie matka przekazała archiwum Teresie Skalskiej. Wszystko się wtedy już waliło. Teresa o archiwum poinformowała niejakiego Sikorę. Oazało się, że to wtyczka NKWD i całe archiwum wpadło. W archiwum były wszystkie poważniejsze dokumenty. Znajdowały się tam dokumenty dotyczące działalności inspektoratów, walk a także "Wachlarza", które najprawdopodobniej zjadły szczury.

Raz miałam "zabawny" wypadek. Kontrwywiad poinformował, że tej nocy ma być łapanka. "Wilk" zdecydował, że wszystkich ludzi ze sztabu należy zgromadzić w jednym miejscu, które ma wyjście alarmowe. Było to mieszkanie księdza Kafarskiego, którego dwie siostrzenice były bardzo blisko związane pracą z "Wilkiem", na ul. Dominikańskiej. Było to wspólne wejście do księgarni św. Wojciecha i do mieszkania. Nie wszyscy zgodzili się przyjść. Był "Ludwik", "Sławek", "Bolesław", z kobiet "Jagienka" i ja. "Ludwik" leżał na wprost drzwi. W pewnym momencie w nocy ktoś gwałtownie pukał do drzwi. Wszyscy się poderwali. Lokal był dlatego bezpieczny, że poprzez ~~widok~~ wyjmowaną ścianę w szafie można było przejść do innego pomieszczenia a stąd przez dziurę w suficie na wielkie strychy. Po stukaniu do drzwi "Ludwik" spokojnie kazał mi je otworzyć. Sam leżał na wprost drzwi z odbezpieczonym pistoletem. Moment mojego zawachania uratował chyba życie ~~Kontrwywiadowi~~ Kazikowi Augustowskiemu, szefowi naszej bazy w Warszawie. Pukanie było kawałem Kafarskich, które chciały zobaczyć jak my wiejemy. Miałam od tego czasu wielkie zaufanie do "Ludwika", który zaimponował mi spokojem, opanowaniem.

Informacje jakie przychodziły na skrzynki zazwyczaj nie były zaszyfrowane. Szyfry były ⁵stosowane zasadniczo w połączeniu z Warszawą. Informacje przychodziły bardzo różnie, na bibułce, na papierze adresowane na "Krystynę" /wszyscy myśleli, że to mężczyzna/. Wszystkie łączniczek za-

opatrzone były w torby z podwójnym dnem o bardzo zresztą różnej konstrukcji. W domu miałam jeszcze bardzo niebezpieczną skrytkę na materiały, które musiałam mieć pod ręką. Było to pudełeczko z podwójnym dnem i kluczykiem. Jeżeli przekręciłoby się kluczyk następował wybuch i dokumenty ulegały zniszczeniu. Otwierać należało od dołu. Tekst przysięgi miałam na małej, cieniutkiej bibułce w papierosie. Czasami na naszą sieć trafiały zapalniki czy proch, ale to bardzo rzadko. Myśmy nie były przystosowane do przekazywania broni. To już robili na ogół mężczyźni. Informacje na bibułkach były pisane tylko odręcznie. Nie mieliśmy żadnych maszyn. Podpisy były pseudonimami. Występowałam pod prawdziwym nazwiskiem, choć miałam drugi komplet dokumentów na inne nazwisko, byłam tylko zameldowana u siostry. Spowodowane było to tym, że nazwisko mego ojca było znane przed wojną w Wilnie. Uważałam, że posługiwanie się prawdziwym nazwiskiem będzie najbezpieczniejsze.

~~Wskazywałam~~ Łączniczankami, które mi podlegały były wyłącznie kobiety. Pamiętam tylko jedno nazwisko: Helena Godlewska.

Natomiast bardzo trudna sytuacja się stworzyła kiedy przyszła "Ostra Brama". Przed operacją "Ostra Brama" podlegałam organizacyjnie "Ludwikowi", jego zastępcą "Sław" poszedł w pole.

Początkowo był rozkaz o uderzeniu na Wilno z 7 na 8 lipca 1944r. Dzień wcześniej przed samą godziną policyjną "Ewa" przyniosła mi rozkaz od "Sława", że uderzenie jest przesunięte o jedną dobę. Sytuacja wyglądała strasznie trudno. Dalej funkcjonowała tylko jak dawniej zwykła łączność kurierska dziewcząt i ja nie miałam doświadczenia bezpośredniego do niektórych placówek. Nie znałam adresu szefa garnizonu miejskiego "Skarbka" /Koplewskiego/, a rozkaz który przyszedł dotyczył przede wszystkim jego. Bardzo utrudniło nam pracę usunięcie ludności z Żarzeża przez Niemców. Do 7 lipca. "Ludwika" dotarłam dopiero nad ranem przed godziną policyjną, wiedząc o tym, że on też nie ma doświadczenia do "Skarbka". Tej nocy "Ludwik" nie nocował w swym stałym lokalu tylko w innym i to w centrum miasta, co unie-

możliwiałe dojście w czasie godziny policyjnej w nocy. Było tu najwięcej Niemców. Do "Skarbka" dotarłam za pośrednictwem mojej ciotki, która znała go prywatnie. Było już wtedy za późno. Rozumię decyzję "Wilka" o przyspieszeniu natarcia w chwili gdy front szybko posuwał się na zachód. W tym momencie zachowanie starej daty natarcia z 7 na 8 lipca byłoby już właściwie spóźnieniem. Nie chodziło o militarne zdobycie Wilna, bo na to nas nie było sió, ale chodziło o akt polityczny, o to że my występujemy przed przyjściem sowieckiej armii jako gospodarze miasta. To była typowo sprawa polityczna i tak myśmy ją rozumieli. W ostatniej chwili Niemcy skierowali również do Wilna doborowe oddziały spadochroniarzy. Ja z "Bog" dostałam rozkaz żeby się przenieść do miejsca postoju "Ludwika", które było w piwnicach księgarni św. Wojciecha przy ul. Dominikańskiej. Wiele łączności nie można już było właściwie zorganizować. Wszystko było już porzucane. Front bardzo szybko stanął w środku miasta. Przez linię frontu kontakt był bardzo trudny. Ja utrzymywałam bezpośredni kontakt z dowódcą "Dworu" i z dowódcą dzielnicy D Grzesiakiem /z harcerzami/. Początkowo nie orientowałam się jeszcze gdzie przebiega front w mieście. Dostałam rozkaz przejścia do garnizonu. Bramy były pozamykane. Sypały się tylko odłamki bomb samolotowych. Udało mi się przeprowadzić przez linię frontu "Skarbka" do miejsca postoju ^{dzielnicy D} "Ludwika", mimo iż napotkalismy oddział niemieckich żołnierzy. Stąd był już bardzo łatwy kontakt z "Ludwikiem".

W czasie przejścia frontu ja miałam bardzo przykry incydent, gdyż w miejscu postoju "Ludwika" były pieczętki. Frontowe władze wojskowe sowieckie uznawały partyzantkę polską dlatego, że my z nimi współpracowaliśmy. Pewnego dnia Teresa Skalska przeprowadziła do naszego miejsca postoju kilku akowców dla wydania im legitymacji Armii Krajowej, które były wtedy uznawane przez żołnierzy sowieckich. Zostaliśmy jednak zatrzymani przez oddział sowiecki. Naszych chłopców sowieci puścili a mnie i Teresie Skalskiej zabrali dokumenty i kazali iść. Ja miałam torbę z po-

dwójnym dnem w którym były najświeższe meldunki z dzielnicy Kalwaryjskiej za Wilną, która została opanowana przez Polaków i odtworzono tam już administrację polską. Bałam się te meldunki zostawić, uważałam, że bezpieczniejsze są przy mnie. Deprowadzili nas do ul. Ludwisarskiej, która znalazła się pod ostrzałem. Zaprowadzili nas do rozbitych dawnych koszar polskich. Tam mogłam niezauważenie wrzucić meldunki, które nie szły do rozbitego pieca. Byłam już wtedy spokojna. Wynikła jednak inne niebezpieczeństwo. Cudem uniknęłam zgwałcenia przez sowieckiego żołnierza. Zdjęli nam zegarki z rąk, a ja w swoim miałam truciznę. Powiedzieli nam byśmy tu siedzieli bo tej nocy podciągają artylerię i przechodzą do ataku frontowego. Okazało się że to prawda. Poszliśmy następnie do żołnierze sowieccy poszli i biegiem wróciliśmy do miejsca postoju "Ludwika". Po przejściu frontu zobaczyłam w Wilnie swego brata, który był w oddziale partyzanckim. Ogromnie się zdziwiliśmy niespodziewanym spotkaniem. Po przejściu działań wojennych musiałam się wycofać do domu. Moja siostra była w ostatnim miesiącu ciąży, nie wiedziałam co się dzieje z moimi rodzicami. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. W tym momencie nastąpił przyjazd "Wilka" do Wilna, spotkanie "Wilka" z "Ludwikiem" oraz wyciągnięcie "Ludwika" z konspiracji. "Ludwik" był powołany w Warszawie na odprawie na szefa organizacji "NIE" w Wilnie. Przekazał mi kiedyś do naszego archiwum zalakowaną kopertę z napisem "NIE", należało ją otworzyć dopiero po przejściu frontu. Jednak "Wilk" rozkazał mu jechać razem z nim w pole. Rozbijało to całkowicie i uniemożliwiało "Ludwikowi" ewentualną działalność w ramach organizacji "NIE". Był to jedyny człowiek, który po ewentualnych aresztowaniach mógł opanować teren. Był dostatecznie zdolny i oddany pracy. Został jednak aresztowany. "Ludwik" był dla nas typem człowieka realnie myślącego, doświadczony. Znał również Rosję. Ujawnienie i dekonspiracja "Ludwika" było konsekwencją rozkazu "Wilka", który zabrał go w teren. Po ewentualnych aresztowaniach stanowisko szefa sztabu "NIE"

niał objąć Heilman "Tomasz", "Wileńczyk", który był jednak w tym czasie w Warszawie. W tej sytuacji funkcję komendanta okręgu po aresztowaniu "Wilka", a także "Ludwika" przejął szef oddziału I Kulikowski. Julian "Witold". Był to człowiek niesłychanie oddany pracy, stary oficer jeszcze z czasów rosyjskich. Nie był on wcześniej przewidywany na komendanta okręgu, ale w sytuacji gdy nie było "Tomasza" uważał, że musi przejąć dowództwo i nie przekazał go potem "Tomaszowi" po jego powrocie z Warszawy. Stąd wynikał nasz uraz do niego. Mimo swego oddania nie umiał on konspirować, zawsze miał przy sobie czy to rozkaz czy gazetkę. Kopertę z wytycznymi dla "NIE" oddziału "Tomaszowi", on kazał mi ją tylko schować do archiwum ponownie mówiąc, że to nie jest rozkaz dla niego. Sytuacja była bardzo trudna, było bardzo duże rozkonspirowanie. Wszędzie były wtyczki. Nasi komuniści, którzy wcześniej nic nie robili teraz nas rozszyfrowywali. Zaczęły się areszty. Robiliśmy co mogli by łączyć porwane sieci w Wilnie. "Jagienka", która była bardzo zagrożona ze względu na swoją działalność jak i ojca /przedwojennego generała/ ze swoją zastępczynią przedostały się do Warszawy, później udało im się /"Jagienka" Dąb-Biernackiej i Lenartowiczowej/ wyjechać do Londynu. "Ewa" Skarga zaczęła zbierać kości łączności na Warszawę. Niebawem wpadła we wrześniu w "kocioł" zastawiony przez NKWD. Wtedy zasadniczo zostałam sama z całą łącznością. Musiałam szukać kogokolwiek na jakiegokolwiek zastępstwa. Chodziło o utrzymanie jakiegoś kontaktu z Warszawą /było Powstanie inie można było zapaść żadnego kontaktu/. Był natomiast kontakt na Londyn. Próbowałam nawiązać łączność kurierską z Warszawą. Z Warszawy nie było żadnych rozkazów. Byliśmy zdani na siebie. Nie wiedzieliśmy co robić? jak się zachować? Był to bardzo tragiczny okres. "Tomasz" często wahał się z podjęciem decyzji. Linia postępowania była zasadniczo taka żeby zachować BIP, żeby notować i zbierać informacje o tym co się dzieje teraz po przyjeździe bolszewików i komórkę legalizacji, żeby ułatwić przechodzenie emigrantom

przez front do Warszawy. W grudniu rozpoczęły się masowe areszty w Wilnie. [17 października 1944 r. zostałam aresztowana i to aresztowana w "głupi" sposób, byłam trochę sama temu winna. Weszłam do mieszkania, w którym NKWD zastawiło "kocioł". Czekali na panią "Krysię" /był to mój pseudonim konspiracyjny. Chciałam się jeszcze ratować mówiąc, że nie znam żadnej "Krysi". Spytałam się więc gospodarzy czy potrafią powiedzieć, że to nie ja jestem "Krystyną". Gospodyni powiedziała, że może powiedzieć, że nie jestem "Krystyną", ale mieszkający z nią rodzice starszankowie na pewno powiedzą, że jestem "Krystyna". Znali mnie pod tylko takim imieniem a często tu wcześniej przychodziłam. Miałam u nich odebrać paczkę i podać ją "Ludwikowi", który był w więzieniu na ul. Ofiarnej w Wilnie. Trzymałam się wersji, że chcę tylko podać paczkę a nie wiem o konspiracji, gdyż straciłam kontakt z szefem. Znalazłam się w areszcie śledczym na ul. Ofiarnej. W celi było strasznie brudno. Nasze ubrania do pralni odnosili aresztowani i znajdujący się na Ofiarnej oficerowie z AK. "Sławek", który był między nimi poznał worek z moim nazwiskiem i gdy odнесли go nam wsadził do niego karteczkę z informacją w którym miejscu należy zostawiać listy w ubikacji. Listy pisane na japońskiej bibułce chowaliśmy w szmatce między przesłaniami umywalki. Było tu strasznie brudno i wilgotnie ale nasz system świetnie działał. Mogłam "Sławkowi" przekazać wiadomości co się działo. "Sławek" nawiązał też kontakt z "Wilkiem" i przekazywał mu moje informacje o tym co się działo w Wilnie po aresztowaniu "Wilka".

Moja siostra przesyłała mi również do więzienia informacje z nasłuchu radiowego. W celi siedzieli ze mną m. in. siostry Kafarskie, jedna z łączniczek "Ewy". W celi był bardzo dobry nastrój. Gdy mnie aresztowano powiedziałam, że nie będę nic zeznawać tego czego nie każe mi "Ludwik". W więzieniu NKWD-ziści przydesli mi list od "Ludwika", który tam napisał "Rosjanie wykazują się przychodząc jako sojusznicy naszych sprzymierzonych występujemy wobec nich z otwartą przyłbicą" i nic więcej. Dla mnie sta-

że się jasne, że mogę mówić o poszczególnych naszych działaniach, ale nie podawać nazwisk. Kulikowski zrobił z tego rozróżkę, że "Ludwik" ka-
zał mi mówić o ludziach z konspiracji, a to nie było prawdą.

Miałam konfrontację w więzieniu z Kulikowskim, oczywiście w obecności NKWD. Kulikowski powiedział, że ja bywałam w mieszkaniu u "Wileńczyka". Stwierdził też że my /podziemie/ pomagamy mojej rodzinie. Byłam za to na niego wściekła. Po co wpłatywał w to jeszcze moją rodzinę. Świadczyło to o pewnej prymitywności jego myślenia. Był on bity w więzieniu.

W maju zostałam przewieziona na Łukiszki. Na pewno przed moim przewiezie-
nierz był już aresztowany kolejny komendant okręgu Heilman "Wileńczyk".

[W sierpniu 1945 r. miałam proces przed wojennym trybunałem w tzw. gru-
pie sztabowej. Był tam Kulikowski, Heilman, Kłacka, Urbankiewicz z Ke-
dywu, było dwóch księży /u jednego z nich na lokalu aresztowano Kuliko-
wskiego/, jedna osoba była nieobecna /chodziło o Wierę Zawieszyną sekre-
tarkę delegata rządu, była ona zupełnie zmaltretowana, była aresztowana
jak jedna z pierwszych i wiadomo, że jest sekretarka/. Wszystkich by-
ło nas chyba 16 osób, w tym 4 kobiety. Wszystkie dostałyśmy po 10 lat.
Mężczyźni dostali po 15 katorgi /2 osoby miały mniejsze wyroki/. To była
komedia a nie sąd. Głębokośmy się z tego, że mogliśmy się spotkać wszy-
scy razem. Jeszcze jakiś czas byliśmy jeszcze we cztery na Łukiszkach.
17 X zawiezino nas do Prawieniszek. Stąd przywiezino mnie na Rossę do
klasztoru wizytek gdzie było przejściowe więzienie. 2 II 1946 r. pod kon-
wojem z osami wywieziona zostałam pociągami na północ. Wywieziona zosta-
łam do Komi ASSR koło miejscowości Kniżkowost. Byłam tu 3 lata. Później
koło Tajazetu byłam w specbozie. Byli tam sami polityczni. Było ciężko.
Po skończeniu się wyroku trzymano nas dalej. Protesty nic nie dały. Był
to bardzo ciężki moment, gdyż nie wiedzieliśmy czy już kiedykolwiek wró-
cimy. Mnie odwieźli do Krasnojarskiego kraju na zesłanie do Nowosybu.
Kilofami rozbijaliśmy ziemię i ładowaliśmy zmarznięte kartofle. Był głód.
Na szczęście miałam wolonki i nóż. Byłam tu na zesłaniu. Wzięłam fikcyj-
ne małżeństwo z zesłańcem, Polakiem z Tajazetu i mogłam wyjechać z

sowchozu. Byłam wtedy chora na gruźlicę. Czułam się bardzo źle. Z wielkim ryzykiem zgodziłam się na to fikcyjne małżeństwo. Mieszkałam z czerem Polakami, zesłańcami. Byli oni mechanikami. Po przyjeździe do nich gospodarowałam właściwie tylko w domu. Wiadomość o naszym fikcyjnym małżeństwie rozeszła się potem i nam je wykreślono. Mogłam ten też na szczęście się leczyć. Jeździłam do lekarze. Wszędzie w okolicy były już punkty na których znajdowały się moje koleżanki obozowe. [We wrześniu 1955r. pojawiły się pierwsze informacje o repatriacji Polaków, tych którzy są już po wyrokach i nie mają obywatelstwa radzieckiego. Podlegałam pod tę kategorię. Wyjechaliśmy tranportem w listopadzie 1955r. Około trzech tygodni jechaliśmy pociągami. Wagony były wygodne. Z każdej stacji na której dłuższą chwilę staliśmy wysyłałam depeszę do domu. Przyjechaliśmy przez Medykę do Nowego Sącza. Tam był punkt repatriacyjny. Byliśmy niesłychanie serdecznie przyjęci. Nie wiem kto bardziej był szczęśliwi, oni nas spotykając czy my ich.]

Nagrat i)

Spisał Krzysztof Tarka.